

RZĄD OLSZEWSKIEGO WSKAZAŁ DROGĘ NA ZACHÓD

Rozmowa z prof. Pawłem Łączkowskim, wicepremierem w latach 1992–1993:



Paweł Łączkowski (siedzi, drugi od lewej) z premier Hanną Suchocką i jej najbliższymi współpracownikami
foto: Fotorzepa, Michał Sadowski

Rz: Jak się panu podoba sytuacja na scenie politycznej? Spór o Trybunał Konstytucyjny, wzajemne oskarżenia o łamanie prawa, demonstracje i kontrademonstracje?

Przede wszystkim nie podoba mi się składanie polskich spraw w ręce starzejących się dzieci kwiatów w rodzaju pana Martina Schulza. Budzą też mój sprzeciw działania mogące pogłębiać nasz brak szacunku dla własnego państwa i prawa. Politycy zachowują się tak, jakby wzięli sobie do serca tytuł książki Roberta Fulghuma „Wszystkiego, co naprawdę trzeba wiedzieć, nauczyłem się w przedszkolu”, i nie chcą się niczego więcej uczyć.

Których polityków ma pan na myśli?

Wszystkich. Nie widzę tu nikogo do specjalnego napiętnowania czy do specjalnego chwalenia. Nieznośna jest krótkowzroczność, którą kierują się politycy. Pamiętam taką sytuację, gdy Marian Krzaklewski w czasach AWS domagał się ode mnie jako przewodniczącego sejmowej Komisji Regulaminowej, abym napisał regulamin zwiększający rolę marszałka Sejmu. Chodziło o tę słynną zamrażarkę, jednoosobowe decydowanie o porządku obrad itd. Tłumaczyłem mu wtedy, że to jest fajne prawo, dopóki marszałek jest nasz. „A co będzie, gdy przestanie być nasz?” – pytałem.

Politycy zawsze uważają, że będą rządzić wiecznie.

Ale w tym wypadku nie trzeba było długo czekać. Ówczesny marszałek Maciej Płażyński szybko się usamodzielił, a Krzaklewski wyrwał sobie włosy z głowy (dobrze, że miał bujną

czuprynę) i miał pretensje do Płażyńskiego, że czyni użytek z tego, co mu sam wepchnął w ręce. W książce Andrzeja Chwalby „III RP – raport specjalny” znalazłem dwa interesujące cytaty. Prezydent Lech Wałęsa, zwracając się w 1994 roku do sędziów Trybunału Konstytucyjnego, powiedział: „Moim zdaniem nie można się zawsze dokładnie trzymać litery prawa. Prawo to raz, a skuteczność to dwa”. A kawałek dalej jest cytat z prymasa Józefa Glempa: „Odwoływanie się do litery prawa, konstytucji i demokracji nie zawsze dobrze służy państwu”. Niestety, politycy nowej generacji mało czytają. No, może poza Jarosławem Kaczyńskim. Ale odnoszę wrażenie, że z kolei on nie doczytuje książek do końca. A warto wiedzieć, jak kończyli różni wielcy ludzie.

Zaraz ktoś panu wytknie, że pan skończył już dawno temu. Pamięta pan swoją pierwszą kampanię wyborczą, do Sejmu kontraktowego?

O tak. Po pierwsze, ona była bardzo krótka, trwała raptem miesiąc. Po drugie, uderzający był entuzjizm ludzi. Ale same spotkania bywały trudne. Na każdym pojawiali się jacyś ludzie ze stale tym samym zestawem pytań. Pytali, czy będziemy ograniczać uprawnienia kombatanckie, o to, czy będę głosował na kandydaturę Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta i czy będziemy likwidowali pegeery.

I jak pan odpowiadał na te pytania?

Na pierwsze odpowiadałem, że kombatant kombatantowi nierówny. Na pytanie o Jaruzelskiego miałem przygotowaną odpowiedź, że nawet gdyby generał musiał zostać prezydentem, to należy robić wszystko, aby przeszedł tak blisko poprzeczki, by oderwał sobie guziki od munduru.

To były prorocze słowa, bo przecież generał przeszedł przewagą jednego głosu.

Na spotkaniach moja odpowiedź wywoływała entuzjizm sali i od razu atmosfera robiła się cieplejsza. Natomiast co do pegeerów, uważałem, że muszą być zlikwidowane, ale nie sądziłem, że zostanie to zrobione w tak idiotyczny sposób. W ostatnich latach PRL miałem liczne kontakty ze wsią, bo gdy uznano, że mam zły wpływ na studentów, pracowałem w instytucie resortowym rolnictwa i prowadziliśmy badania na wsi. Wtedy zetknąłem się z rzeczywistością pegeerowską i wiem, że transformacja była dla tego środowiska dramatem. Już będąc w rządzie, próbowałem jakoś temu zaradzić. Zaproponowałem, by jeden z pegeerów na Warmii podzielić na kilkadziesiąt jednakowych gospodarstw, które pracownicy mogliby dzierżawić, a potem kupić na preferencyjnych warunkach. Pojechałem tłumaczyć to miejscowym i nigdy nie zapomnę tego dramatycznego spotkania.

Dlaczego było dramatyczne?

Bo najpierw była awantura, a potem ci ludzie pytali, czego ja od nich oczekuję, bo przecież oni nie potrafią pracować na roli. Całe życie dostawali instrukcje, kiedy mają siał, kiedy opylać, ale co tam było w siewniku czy opylaczu, to nie mieli pojęcia. Dobił mnie starszy pan, który powiedział, że to wszystko jest na głowie postawione, bo dawniej, gdy miał chorą świnkę, to wioził ją do pegeeru i podmieniał na zdrową. „I to było w porządku?” – pytam go. A on na to: „A gdzie ma być chora świnka, przecież PGR ma weterynarza, a ja nie”. Ci ludzie nie płacili za mieszkania, za media, dostawali niedużą pensję, jakieś deputaty i tak żyli. A w wolnej Polsce zostali pozbawieni wszystkiego. Na dodatek kazano im płacić za to, co użytkują. To był jeden z większych dramatów transformacji.

Ma pan poczucie winy, że transformacja przebiegła tak, a nie inaczej?

Trochę tak. Nie byliśmy przygotowani do sprawowania władzy. Pamiętam, jak w czasach PRL, chyba w 1987 roku, spotkaliśmy się z ówczesnym biskupem Ignacym Tokarczukiem z Przemyśla, legendarną postacią. Pokazaliśmy mu nasze wydawnictwa drugiego obiegu, w których pisaliśmy, że trzeba bić komunę, a ksiądz biskup tak na nas patrzył i w końcu powiedział: „Tylu młodych panów, a zachowujecie się jak dzieci. Co wy zrobicie, jakby wam się przypadkiem udało objąć władzę?”. Mam poczucie winy, że w latach 80., kiedy było już wiadomo, że ten system długo się nie utrzyma, nie przygotowaliśmy się do przejęcia władzy. Dość boleśnie przeżyłem zderzenie się w Sejmie kontraktowym z takimi posłami, jak Włodzimierz Cimoszewicz czy Jerzy Jaskiernia. Oni wszyscy byli po stypendiach zagranicznych, przygotowani do sprawowania władzy, a my byliśmy jak dzieci we mgle.

PRL-owska władza nie wysyłała działaczy opozycji na stypendium Fulbrighta.

To prawda. Moje kontakty z zagranicą w czasach PRL polegały na tym, że przez parę miesięcy byłem dekarzem na londyńskich dachach, a i tak uważałem się za szczęśliwca. Ale można się było uczyć na miejscu. Spapraliśmy sporo rzeczy.

Co pana zdaniem zostało spapране poza pegeerami?

Wiele rzeczy. OKP to było takie towarzystwo, w którym tylko niektórzy wiedzieli, dokąd zmierzają, ale strzegli tej tajemnicy zazdrośnie. Reszta słyszała pohukiwania: „Wiosłujcie!”. Nikt jednak nam nie mówił, dokąd płyniemy. To była przyczyna, że część z nas zaczęła się buntować i zorganizowaliśmy, ku zgrozie kierownictwa OKP, grupę demokratów chrześcijańskich. Nie odpowiadało nam uczestnictwo w bliżej nieokreślonej zmianie, w miotaniu się od płota do płota. No bo niby szanujemy własność, ale nie prywatyzujemy, niby walczymy z dygnitarstwem z przeszłości, ale pasujemy się na ich majątkach, jak się da.

Dlaczego kierownictwo OKP było przerażone powstaniem waszej grupy?

Bardzo długo trwały zakusy, żeby stworzyć z nas magmową strukturę, niby partyjną, opartą na Komitetach Obywatelskich, wyłaniającą w bliżej nieokreślony sposób swoje kierownictwo. Próbę takiego działania mieliśmy już na pierwszym posiedzeniu Klubu OKP. Stanął przed nami Lech Wałęsa, wyciągnął z kieszeni marynarki trochę wymiętoloną kartkę i odczytał nam skład prezydium klubu. Byliśmy zaskoczeni, ale co mieliśmy robić. Większość z nas się nie znała. Próbowali gardłować Andrzej Wielowieyski i Andrzej Szczypiorski, a reszta uznała, że tak być musi.

Ale później się zbuntowaliście.

No tak, bo zaczęło się załatwianie zbyt wielu spraw ponad naszymi głowami. Pod koniec października 1989 roku doszło do wyborów uzupełniających do prezydium klubu, bo były długo nieobsadzone wakaty po tych posłach, którzy poszli do rządu, np. po Jacku Kuroni, i ludzie zaczęli się o to awanturować. Henryk Wujec odczytał z kartki kandydatów proponowanych przez ówczesne prezydium. Do głowy im nie przyszło, że może być opór z sali. Pamiętam zdumienie na twarzy prof. Bronisława Geremka, kiedy padły kandydatury z sali. A już zupełne szaleństwo zaczęło się, gdy w wyborach nie przeszedł nikt odczytany z kartki. To było małe wotum nieufności dla ówczesnego kierownictwa OKP. Ja wtedy wszedłem do prezydium, ale niewiele z tego wynikało. Janusz Steinhoff zawsze po

posiedzeniu prezydium mówił: „Chodź obejrzeć telewizję, musimy zobaczyć, co uchwaliliśmy”. W tym żarcie było wiele gorzkiej prawdy.

Dlaczego?

Decyzje zapadały gdzie indziej. Prezydium były fasadowe, tak samo jak posiedzenia klubu. Myśmy obrywali straszliwe ciągi w terenie, przyjeżdżaliśmy do Warszawy poobijani, a tutaj niczego nie dało się załatwić.

Za co dostawaliście ciągi w terenie?

Podam jeden przykład – telefonuje do mnie kiedyś działacz „Solidarności” z Gniezna i pyta, dlaczego pozwalamy na to, że z miejscowego komitetu PZPR wyprzedawany jest cały majątek ruchomy – maszyny do pisania, faksy, telefony itd. I czy oni mają do tego prawo. Próbowałem interweniować w tej sprawie i dostałem od Jacka Ambroziaka, ówczesnego szefa URM, faks, żeby nie interweniować, bo to wszystko się dzieje za porozumieniem.

A więc to były te drobne sprawy załatwiane ponad waszymi głowami...

To pani powiedziała, a ja tak pomyślałem. Dlatego się zbuntowaliśmy, ale chcę zaznaczyć, że mimo to pozostaliśmy w OKP do końca kadencji. To Unia Demokratyczna wyszła z naszego klubu. Podobno nie chcieli deformować swojego programu po to, żeby utrzymywać jedność z nami. Ich postawa była typowym chciejstwem. Takim samym jak decyzja Lecha Wałęsy w 1993 roku, kiedy rozwiązał Sejm.

Przecież upadł wtedy rząd Hanny Suchockiej.

Ale parlamentu nie trzeba było rozwiązywać. Niestety, Andrzej Olechowski naopowiadał Wałęsie, że jego BBWR zdobędzie 60 proc. głosów, i prezydent postanowił zagrać o pełnię władzy. Byłem przy tej rozmowie.

Kiedy to miało miejsce?

Krótko przed upadkiem rządu Hanny Suchockiej. Wałęsa zaprosił nas do Belwederu i mówi: „To jest wasza ostatnia szansa, wchodzicie do BBWR czy nie?”. Zrobiłem minę wyrażającą wątpliwość, na co Wałęsa mówi do Olechowskiego: „Panie Andrzeju, niech pan im powie, jak to wygląda”. A Olechowski z namaszczeniem zaczął opowiadać, jak to wspaniale rozwija się BBWR. W pewnym momencie stwierdził: „Wróżą nam, że dostaniemy 60 proc.”. Na co ja spytałem: „Chodzi o liczbę mandatów czy głosów w wyborach?”. Pan Andrzej był niemile zaskoczony tym pytaniem, ale odpowiedział: „No, głosów”. A to by oznaczało, że przy systemie d'Hondta BBWR zdobyłby 100 proc. mandatów. Pozwoliłem sobie wyrazić wątpliwość. Od tej pory przestałem być szczególnym wyznawcą talentu pana prezydenta. A gdy rozwiązał Sejm, uważałem, że to jest po prostu zwykła głupota.

A czy tamten Sejm nie wyczerpał swoich możliwości?

Wcale nie. Rozwiązanie Sejmu to było podanie kroplówki siłom starego układu. A zrobił to tylko dlatego, że sądził, iż za chwilę będzie miał do dyspozycji 60 proc. głosów.

A pamięta pan, jak tworzono rząd Hanny Suchockiej?

Oczywiście. Hanna Suchocka dowiedziała się, że będzie premierem, kiedy była w Londynie i w ogóle nie chciała wracać. Ale w końcu wróciła. Pamiętam, jak trzy partie: UD, Kongres Liberalno-Demokratyczny i Polski Program Gospodarczy (czyli mądrzejsza część Polskiej Partii Przyjaciół Piwa), próbowały zdobyć większość, negocjując koalicję z PSL i KPN. A tymczasem z inicjatywy Jarosława Kaczyńskiego pięć prawicowych partii, w tym nasza, zawarło porozumienie i również zaproponowały rozmowy o koalicji rządzącej. Kierownictwo UD nie bardzo miało na to ochotę, dlatego do rozmów wydelegowało dwóch buntujących się posłów, Aleksandra Halla i Jana Rokitę, licząc na fiasko rozmów. A myśmy się dogadali, przy czym olbrzymią rolę odegrał w tym procesie Jan Rulewski, który kleił wszystko od strony „Solidarności” i użerał się z Wałęsą. Mimo wszystko udało nam się porozumieć, Geremek zapewnił, że Suchocka wróci z Londynu, i w kierownictwie UD zapanowała konsternacja.

Ale przecież rząd powstał.

Tak. Ale pamiętam ten słoneczny poranek lipcowy, gdy czekaliśmy w pokoju marszałka Senatu na kierownictwo UD i nie mogliśmy się doczekać. Hall i Rokita chodzili do swoich szefów i wracali coraz bardziej skonfundowani, bo nie było komu przyklepać porozumienia. Jarosław Kaczyński z Ludwikiem Dornem się obrażali i wychodzili, myśmy ich ściągali i tak to trwało około godziny. Po którymś nawrocie Hall się wściekł, powiedział: „Koledzy ja was bardzo przepraszam”, obrócił się na pięcie i więcej nie wrócił. To był jego protest przeciwko temu, że zrobiono z nich frajerów – kazano im negocjować porozumienie, którego szefostwo nie chciało podpisać.

Ale Rokita wytrwał?

Tak, on jeszcze kilka razy chodził do swoich liderów i wracał z niczym. Dopiero gdy zdecydowaliśmy się iść spać i przechodziliśmy pod drzwiami Klubu Parlamentarnego UD, ktoś zobaczył, że wychodzimy z Sejmu, zrobił się tumult i całe towarzystwo w liczbie kilkunastu osób przyszło na rozmowę, choć miny mieli takie sobie.

Co pan uważa za mocną stronę tamtego rządu?

To, że on w ogóle powstał. Tkwienie w traumie po upadku rządu Olszewskiego i po nieudanej misji sformowania rządu przez Waldemara Pawlaka oznaczałoby totalną klęskę wyborczą. Rząd Suchockiej dawał szansę na otrzeźwienie i odbudowę naszych pozycji. Ale działał między młotem a kowadłem. Suchocka była regularnie obijana przez kierownictwo UD za słabe reprezentowanie interesów partii. Unici wylewali krokodyle łzy nad losem biednej partii, rzekomo pomiatanej w tym rządzie, a Suchocka odchorowywała każdą obecność na prezydium własnej partii. Z kolei na posiedzeniach koalicji była obijana za to, że nie jest premierem wszystkich Polaków, tylko tych popierających UD.

Krażyły plotki, że miała nerwy w strzępach i Rokita musiał ją nieustająco uspokajać.

Jego rola w rządzie była niewspółmiernie duża w stosunku do funkcji szefa URM, którą sprawował. Plusem było też to, że zaczęliśmy pracować nad programami strategicznymi. Przykładowo, przygotowano projekt reformy służby zdrowia, który był chyba najlepszym

rozwiązaniem ze wszystkich, jakie się do tej pory pojawiły. Niestety, był proponowany przez „niesłuszne” siły.

A jaki był największy grzech tego rządu?

Jeden, generalny i niestety niwelujący wszystkie pozytywy. Już po dymisji gabinetu Suchocka wydała pożegnalną kolację dla wszystkich partii uwikłanych w ten rząd. Chcieliśmy na niej wystąpić z propozycją, by koalicja tworząca rząd Suchockiej płynnie przekształciła się w koalicję wyborczą. Wtedy udałoby się zahamować ten przeczuczany przez nas niedobry bieg wydarzeń. W sondażach rząd miał zupełnie dobre wyniki. Miała to zaproponować sama Suchocka, choć bardzo się wzdragała. Czekaliśmy do końca kolacji, ale wreszcie wygłosiła tę propozycję, choć w mało zdecydowany sposób.

Kto powiedział: nie?

Szef Unii Demokratycznej Tadeusz Mazowiecki z Wiesławem Chrzanowskim, szefem ZChN, zakrzyknęli jednocześnie, że to jest niemożliwe. W tym momencie nie było o czym rozmawiać. Szkoda. Dla nas wszystkich taka wyborcza koalicja byłaby jak przespanie się z jeżozwierzem, ale mogło to przynieść pozytywne rezultaty.

Pamiętam klimat panujący w Sejmie po upadku rządu Suchockiej. Odnosiłam wrażenie, że nikt się tym specjalnie nie martwił.

Nocą przed głosowaniem nad odwołaniem rządu Suchockiej spędziłem kilka godzin z politykami PSL. Miałem dobry kontakt z Pawlakiem. On się uważał za człowieka związanego z ideą Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Nie został asystentem na SGGW właśnie przez związki z NZS i nie mógł zrozumieć, dlaczego my go traktujemy jako komucha. Liczyłem na to, że w PSL kilka osób wstrzyma się od głosu i dzięki temu rząd ocaleje. Poszedłem spać z poczuciem, że wszystko się dobrze skończy. Ale przed samym posiedzeniem Sejmu podbiegł do mnie jeden z posłów PSL i mówi: „Wszystkie ustalenia z nocy są nieważne”. Ktoś ich ustawił do pionu. To świadczyło o tym, że ktoś albo grał z Belwederem w tej sprawie, albo był po prostu głupi. PSL było mocno zaniepokojone możliwością wcześniejszych wyborów.

Dla PSL ta historia skończyła się akurat dobrze, aczkolwiek przeszli znowu na stronę postkomunistów, choć już byli osadzeni po stronie solidarnościowej.

To był jeden z błędów Wałęsy, którego historia nie powinna mu wybaczyć.

A jak pan ocenia obalenie rządu Jana Olszewskiego? PChD była w koalicji rządzącej.

Rząd Jana Olszewskiego upadł, bo od początku nie miał większości w Sejmie. Utrzymywał się cudem przez pół roku tylko dlatego, że prowadził nieustanne negocjacje o poszerzeniu koalicji. W wielu tych rozmowach uczestniczyłem i były one niesłychanie męczące. Taka jazda na jałowym biegu. Olszewski chciał dokooptować KPN, ale bał się aspiracji Moczulskiego, któremu marzyło się Ministerstwo Obrony Narodowej połączone z funkcją wicepremiera, i dlatego premier przeciągał rozmowy. Jan Olszewski zawsze miał kłopoty z podejmowaniem decyzji, w czym był podobny do Mazowieckiego. Toczyły się też rozmowy z UD i KLD. Na to porozumienie Olszewski nie bardzo miał ochotę, ale bardzo naciskało Porozumienie Centrum i Jarosław Kaczyński. I dzięki utrzymywaniu obu stron rozmów w napięciu rząd trwał.

Aż do uchwały lustracyjnej.

To był tylko pretekst. Powtarzam, rząd upadł, bo nie miał większości. Nawet nie wszystkie stanowiska ministerialne były obsadzone. Myśmy się w pewnym momencie wściekli, bo nasz kolega Andrzej Lipko przez pół roku kierował resortem przemysłu, ale nie jako zaprzysiężony minister, lecz tylko jako kierownik resortu. I takich sytuacji było więcej. Te stanowiska czekały na nowych koalicjantów. Rząd, w którym nie ma paru ministrów, to żaden rząd. Na dodatek już wówczas pojawiły się napięcia między Kaczyńskim a Olszewskim. Jakie diabełki były tam czynne, że wszystko zogniskowało się wokół uchwały lustracyjnej, nie wiem, ale uważam, że to były działania inspirowane.

Przez kogo?

Tego nie wiem. Ale pewne jest, że tamta uchwała lustracyjna na lata załatwiła sprawę lustracji, bo jej przeciwnicy zobaczyli, że mogą wygrać. Jednak rząd Olszewskiego miał jedno wielkie osiągnięcie – ustawił azymut naszych działań na Zachód. Dziś może to nie jest taki oczywiste, ale wtedy jedni mówili o NATO-bis, inni majaczyli o neutralności szwajcarskiej, a Jan Olszewski postawił jasno sprawę i za to mu się należy wieczna cześć i chwała.

—rozmawiała Eliza Olczyk (dziennikarka tygodnika „Wprost”)

WYKORZYSTANO: PLUS MINUS RZECZPOSPOLITA